



tłumaczyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Media Rodzina

Tytuł oryginału
WELTEN-EXPRESS

Copyright text © by CARLSEN Verlag GmbH, Hamburg, 2018

First published in Germany under the title

„Der Welten-Express, Teil 1”

All rights reserved

Projekt okładki Bente Schlick

Opracowanie polskiej wersji

Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-777-4

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

www.mediarodzina.pl

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i łamanie
Radosław Stępniaś

Druk
Abedik



**PIERWSZA CZĘŚĆ
WIELKIEJ TRYLOGII**





EKSPRES MIĘDZYKONTYNTENTALNY

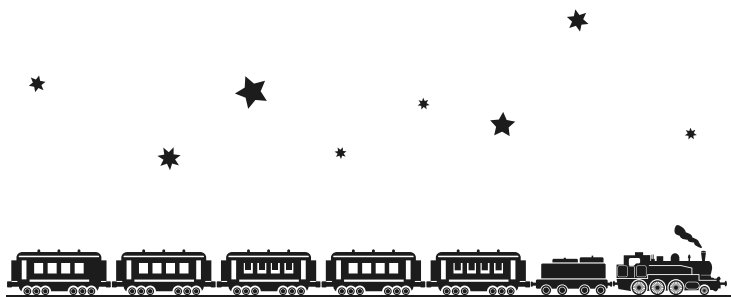
kolejność wagonów:

- Lokomotywa
- 1. Wagon magazynowy
- 2. Wagon bagażowy
- 3. Wagon administratora
- 4. Kuchnia
- 5. Stołówka
- 6. Salonik herbaciany
- 7. Biblioteka
- 8. Wagon lekcyjny bohaterstwa
- 9. Wagon lekcyjny strategii
& pewności siebie
- 10. Wagon lekcyjny zachowania
- 11. Wagon nauki własnej
- 12. Wagon nauki własnej



13. Wagon rekreacyjny Pawi
14. Wagon klubowy
15. Wagon sypialny Pawi (dla dziewcząt)
16. Wagon sypialny Pawi (dla dziewcząt)
17. Wagon sypialny Pawi (dla chłopców)
18. Wagon sypialny Pawi (dla chłopców)
19. Wagon rekreacyjny personelu
(z pokojem nauczycielskim, salą
chorych, pomieszczeniem socjalnym)
20. Wagon dykcji
21. Wagon sypialny nauczycieli
22. Wagon sypialny pozostałego personelu
23. Wagon ostatni
24. Wagon widokowy





PROLOG

W czasach, kiedy baśnie już dawno pokryły się rdzą, a fabryki wyrastały jedna po drugiej, w bardzo ubogim domostwie żył mały, lecz wyjątkowy chłopiec. Miał to szczęście, że otrzymał od losu trzy dary: odwagę, niezłomność i talent. Dzięki tym cechom został budowniczym pierwszej kolei żelaznej i żył w dostatku aż do końca swych dni.

Tak przynajmniej możemy przeczytać w książkach historycznych.

Ale to tylko połowa prawdy. Bo chociaż odniósł ogromny sukces, zawsze pamiętał, jak to jest być nadzwyczaj utalentowanym, lecz strasznie biednym i przez to pozbawionym jakichkolwiek szans. Dlatego postanowił założyć szkołę dla tych wszystkich dzieci, których potencjał bez niej mógłby się zmarnować.

A ponieważ nie potrafił się przekonać do porządku szkolnego obowiązującego w żadnym kraju i uważał przymus oglądania wciąż tego samego miasta przez cały okres nauki

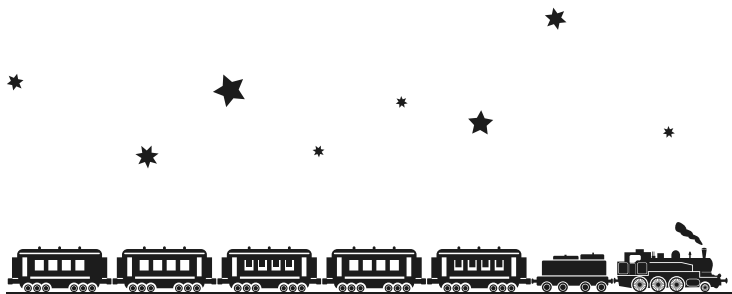
za okropieństwo, zdecydował, że szkoła powinna się przemieszczać i nie mieć siedziby. A właściwie mieć ją wszędzie.

Poza tym nie mógł się o niej dowiedzieć nikt postronny, by uczniowie cieszyli się bezpieczeństwem i wolnością.

Któż miałby zbudować coś takiego, jeśli nie on, człowiek obdarzony nadzwyczaj wyjątkowym talentem? Albowiem oprócz odwagi i niezłomności dane mu było coś jeszcze – tajemnica wielka jak cały świat: w jego żyłach płynęła magia, czysta jak płynne złoto.

Potajemnie zaprojektował zatem lokomotywę parową z dwudziestoma czterema wagonami – magiczny pociąg równie niezwykły jak uczniowie, którzy mieli w nim zamieszkać. A ponieważ ów pociąg miał przemierzać wszystkie kraje na wszystkich kontynentach, nadał mu nazwę EKSPRES MIĘDZYKONTYNETALNY.

182 lata później, tu i teraz.



OPUSZCZONY PERON

Flinn Nachtigall nie była jak inne dziewczynki. Wyróżniało ją już samo imię, jedno z tych osobliwych, które równie dobrze mogą nosić dziewczęta, jak i chłopcy, podobnie jak Charlie czy Puck.

— Że też nie nazwałam cię inaczej — narzekała często jej matka, jakby to imię było winne temu, że Flinn tak bardzo różniła się od większości dzieci. — Jakoś normalnie, na przykład Izabela czy Laura.

Ale Flinn wcale nie chciała być Izabelą ani Laurą.

— Izabele lubią konie i wszystko, co jest w różowym kolorze — odpowiadała wtedy. — A Laury zawsze chodzą we dwójkę do ubikacji.

Można by sądzić, że dziewczynki w jej wieku miały tylko te dwie możliwości. Czytanie starodawnych słowników czy rzucanie bumerangiem z pewnością nie mieściło się w tym schemacie. Ale kiedy tak jak Flinn mieszka się w starym domu gdzieś na końcu świata, nie ma wielu okazji, by zachowywać się jak typowa dziewczynka.

Sytuacji nie poprawiało również to, że każdego ranka Flinn jechała dwie godziny autobusem do szkoły. Przez zrywanie się bladym świtem, podczas gdy jej szkolni koledzy jeszcze smacznie spali, miała sińce pod oczami.

Musiała też znosić kretyńskie żarty ze swego „ptasiego” nazwiska*. Aż kipiała ze złości, ponieważ od końca letnich wakacji upłynęły zaledwie trzy tygodnie, a ona już usłyszała w szkole z dziesięć kiepskich dowcipów na temat ptaków ogólnie, a słowików w szczególności.

— To za wyśmiewanie się z mojego nazwiska! — powiedziała i pewnym ruchem przerzuciła bumerang przez pole za domem. Pałakowaty kawałek drewna przeciął ze świstem powietrze i zmiotł z płotu zardzewiałą puszkę, a potem wysokim łukiem wrócił do Flinn, która podskoczywszy od niechcenia, schwyciła go bez trudu.

Było późne popołudnie, słońce wisiało nisko nad polami, a jedynym odgłosem słyszalnym w okolicy był metaliczny huk, który rozlegał się za każdym razem, gdy Flinn strącała kolejną puszkę na ziemię.

— A teraz za hieny — wycodziła i mrużąc oczy, wycelowała w następną puszkę. Hienami nazywała tych, którzy ze stu metrów wyczuwali każdego, kto nie jest przeciętny. Głównie swoich szkolnych kolegów.

W szkole, tym wielkim pudle obłożonym klinkierem, Flinn bez przerwy była sama. Tak naprawdę nigdy nie czuła się dobrze w Zakładzie Edukacyjnym panny Schlechtfeld.

* *die Nachtigall* (niem.) — słowik (przyp. red.)

Przywykła już do tego, że jej koleżanki siedziały gdzieś w kącie, tak aby ona nie mogła ich słyszeć, i obgadywały jej wygląd: miedziane włosy, sięgające ramion i zawsze trochę rozczochrane, ponieważ Flinn nie rozumiała, dlaczego każdego ranka — każdego! — miałyby je czesać. Obmawiały też jej bladą cerę i piegi. Albo zmęczone oczy, które często patrzyły tak obojętnie, że jeszcze nikt nie zauważył, iż iskrzą się bursztynowym złotem. (Flinn przynajmniej miała nadzieję, że jest to bursztynowe złoto, a nie gliniasty brąz).

— W takim razie zaprzyjaźnij się z chłopcami — poradziła matka, gdy kiedyś córka pożaliła jej się w domu. Nie wiedziała, że chłopcy zasadniczo w ogóle nie rozmawiają z dziewczynami, a już na pewno nie z Flinn. — Trochę się dostosuj!

— Przecież nie jestem kameleonem — wymamrotała Flinn ze złością i cisnęła bumerangiem w kolejną puszkę. Parę spłoszonych kruków wzbiło się z łopotem skrzydeł w powietrze, gdy puszka wylądowała w zbożu.

Flinn nie umiała się dostosować. Nie była ani księżniczką, ani chłopczycą. Była kimś pomiędzy. Dziewczynką, która co prawda nie chciała uchodzić za flejtucha, ale i zimą, i latem nosiła, niczym drwał, obszerne flanelowe koszule w kratę i toporne buty. Dziewczynką, która zmagazynowała w głowie całe listy słówek, a gdy przychodziło co do czego, stać ją było co najwyżej na błyskotliwość aktora filmu niemego.

Była też dziewczynką, która wprawdzie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby urodzić się chłopcem, lecz jednocześnie śmiertelnie się wstydziła, gdy ktoś ją za niego brał.

A zdarzało się to nierzadko, ponieważ Flinn jak na swój wiek była bardzo wysoka i smukła. Wszystkie uczennice siódmej klasy szkoły panny Schlechtfeld były grubsze od niej.

Zapchajdziura, tak nazwał ją kiedyś jej starszy brat Jonte.

Ale to było dawno. Teraz bez niego nie dawało się w żaden sposób wytrzymać — tkwić gdzieś między frontami, na ziemi niczyjej.

Wyobrażanie sobie, jak ułożyłoby się jej życie, gdyby Jonte nadal był z nimi, a cała rodzina byłaby bogatsza i mama szczęśliwsza, to jedyne momenty jej dnia powszedniego, które nie tylko nie wydawały się beznadziejne, ale wręcz trochę przyjemne.

— I jeszcze raz! — powiedziała do siebie. — Za Jontego!

Bo strasznie jej go brakowało. Bo stał się już tylko wspomnieniem, niemal tak wyblakłym jak etykiety na metalowych puszkach.

Dwa lata to piekielnie długi czas, gdy próbuje się nie zapomnieć, jak brzmiał czyjś głos albo jak się czuło w czyichś objęciach.

— Mogłabyś przynajmniej wycelować w jakąś kaczkę — powtarzała za każdym razem matka, gdy obserwowała zręczność córki w operowaniu bumerangiem. — Mielibyśmy tanią ucztę.

Jakby Flinn kiedykolwiek brała na cel jakieś zwierzę! Najchętniej trafiała do puszki z napisem „Ragoût z kaczki”.

Brzdęk!

Jak zwykle bezbłędny rzut. Wprost idealny.

Z czystego przyzwyczajenia Flinn obejrzała się na dom. Była to wielka stara rudera z siedmioma zapuszczonymi pokojami i drewnianą werandą, jakby żywcem przeniesiona z Dzikiego Zachodu. Wydawała się zupełnie nie na miejscu tutaj, na północy Niemiec.

W niskich, obszernych pomieszczeniach Flinn czuła się zawsze równie mała i nieważna jak mysz pod podłogą. Przez otwarte drzwi na tyłach domu zobaczyła swoich dwóch młodszych braci wdrapujących się na kuchenne krzesła i matkę wrzeszczącą na nich. Widziała także Jannika, trzeciego brata, który wylegiwał się na kanapie i gapił na jakiś talent show. Flinn westchnęła ciężko. Poza nimi nie było nikogo, komu mogłaby zaimponować biegiem w rzucaniu bumerangiem. No bo niby skąd? Tutaj? Tu stał tylko ten stary dom, oddalony o dwa kilometry i ładnych parę zawałonych stodół od Weidenborstel — miejscowości, która według Jontego wyglądała dokładnie tak samo, jak brzmiała jej nazwa. Jak pastwisko.

Choć z drugiej strony wokół nowo założonej sadzawki w Weidenborstel stało dziewięć świeżo otynkowanych domów. Flinn była pewna, że na śniadanie jadano w nich dżem własnej roboty, a tamtejszym rodzinom podobało się życie na wsi. Trudno się dziwić, skoro pod ich oknami kwitły krzewy róż, a w pobliżu gniazdowały żurawie. Tutaj natomiast, cztery pola dalej, mieszkało pięć skwaszonych osób — Flinn, jej matka i troje przyrodniego rodzeństwa. Tutaj nie było nic, zupełnie nic poza wspomnieniem Jontego, dawnego szóstego mieszkańca.

Ojców żadnego z dzieci nie było tu nigdy — ani Jontego, ani trójki młodszych braci, ani jej własnego. Flinn przypuszczała, że po prostu nie chcieli mieszkać na końcu świata.

Odłożyła bumerang dopiero, gdy zaczęło się zmierzchać i w ciszy rozległ się głos matki wołającej „Kolacja!”. Nie cieszyła się na nią, ponieważ wiedziała, że to słowo zapowiada co najwyżej grube kromki chleba z czymś zeschniętym na wierzchu.

Kiedy znalazła się na werandzie, przyszło jej coś do głowy. Cofnęła się i wzięła ostatnią puszkę z nalepką „Ragoût z kaczki“. Idąc z nią z powrotem do domu, czuła, jak chłodny metal wybrzusza się w jej dłoni. Nagle przeppełniła ją osobliwa nadzieja.

Jej trzech bracia — wszyscy młodszy od niej — jak zawsze siedzieli już na swoich miejscach i czekali. Flinn postawiła powgniataną puszkę na środku stołu.

— Co to jest? — spytała opryskliwie matka. Od czasu zniknięcia Jontego nie miała cierpliwości do swoich dzieci.

Flinn popatrzyła na jej długie włosy koloru piasku, sweter z surowej wełny i zgaszone niebieskie oczy. Gdyby pojawiło się w nich chociaż trochę blasku, mogłaby uchodzić za całkiem ładną.

— Ustrzeliłam kaczkę — odpowiedziała Flinn. Wiedziała, że takie żarty nie mają żadnego sensu, nie mogła się jednak powstrzymać: szukała w twarzy matki cienia uśmiechu, grymasu, choćby drgnięcia kącików ust. Przecież kiedyś w końcu ona też musi się roześmiać!

Mama strąciła puszkę ze stołu.

— Czy ty nie mogłabyś chociaż raz zachować się rozsądnie?

— Nie, dopóki nie doczekam się tego samego od ciebie — powiedziała cicho Flinn i spojrzała na stos brudnych naczyń piętrzących się w zlewie, a potem na farbę odpadającą ze ścian jak życie z twarzy matki.

— Dlaczego to nie jest prawdziwa kaczką? — spytał Jannik, spoglądając tęsknie na puszkę. Jego krótkie włosy były równie jasne jak łany zbóż za domem. Zdaniem Flinn wyglądał jak młodsza wersja matki, był tylko mniej wyczerpany.

Nagle zrobiło jej się żal brata. Lepiej by było, gdyby nic nie mówiła.

— Bo prędzej dałabym sobie odrąbać rękę, niż zabiłabym niewinne zwierzę — wyjaśniła rzeczowo. „Poza tym później i tak całe gotowanie byłoby na mojej głowie”, dodała w duchu.

Jannik parsknął śmiechem, wypluwając okruchy chleba na stół.

— Ale z ciebie mięczak — powiedział.

— Dureń — rzuciła Flinn. Wszelkie współczucie natychmiast zniknęło, chociaż wiedziała, że jest niesprawiedliwa dla brata. Jannik po prostu paplał to, co od kogoś usłyszał. Czasami Flinn miała wrażenie, że Jonte i ona jako jedyni w tej rodzinie mają sprawnie działający mózg. A teraz, dwa lata po jego zniknięciu, pozostała tylko ona.

Flinn wzięła grubą pajdę chleba i wyszła na rześkie wieczorne powietrze. Drewniane stopnie głośno zatrzeszczały pod jej stopami, ale nikt nie zawołał, aby wróciła do środka.

Od kiedy Jonte przepadł bez śladu, Flinn odnosiła wrażenie, że matka liczyła się z tym, iż prędzej czy później i ona stąd zniknie.

Jak co wieczór Flinn ruszyła w drogę przez pola. Kruszyła chleb na ziemię, zostawiając na niej ślad, który później wieczorem miałby ją doprowadzić z powrotem do domu. Kruki całymi chmarami rzucały się za nią na okruchy. Nie przepadała za nimi, ale lubiła słuchać ich skrzeku, bo zagłuszał pustkę, która pozostała po Jontem.

Gdyby tylko znalazła sposób, jak sprowadzić znowu do domu swojego przyrodniego brata, wtedy mama na pewno byłaby taka jak dawniej. Gdyby dysponowała chociaż jedną wskazówką, jedną jedyną.

Zaraz, jedną przecież miała. Dworzec!

Zupełnie jakby była jakimś obieżyświatem, bez przerwy ją tam ciągnęło. Co wieczór. Co noc.

Flinn pędem pokonała ostatnie metry i wbiegła po popękanych betonowych stopniach. Dworzec w Weidenborstel miał tylko ten jeden peron — drugi.

To nie dziwiło Flinn, ponieważ numer jeden jest zarezerwowany dla zwycięzców. A nikt z jej rodziny, kto kiedykolwiek wsiadłby tu do jakiegokolwiek pociągu, do takich nie należał.

Mieszkańcy ładnie otynkowanych domów w Weidenborstel chyba już dawno zapomnieli o dworcu. W końcu od wielu lat nie przybył tu żaden pociąg. I z całą pewnością nigdy więcej żaden nie przybędzie. Flinn, która od zniknięcia

Jontego przesiadywała tu niemal co noc, nie miała tego po-
ciągom za złe. Jedyna ławka była zardzewiała, torowisko
zarosło krzakami. Zegar dworcowy zatrzymał się dawno
temu — w tamten noworoczny poranek, kiedy Jonte nie
wrócił do domu.

Panował wtedy trzaskający mróz i dlatego nikt jej nie
wierzył, że Jonte po prostu przesiedział całą sylwestrową
noc na tej zardzewiałej ławce, obserwując gwiazdy. Flinn
jednak wiedziała, że tak właśnie było. Bo Jonte robił tak
zawsze, rok za rokiem.

Co prawda miał wówczas dopiero trzynaście lat, czyli
dokładnie tyle, ile ona teraz, ale był od niej o lata świetl-
ne odważniejszy. Odważniejszy, bardziej beztroski i bar-
dziej wolny. Dworzec to miejsce, gdzie zawsze snuł swoje
marzenia.

Aż do tamtego Nowego Roku.

Trzy tygodnie po jego zniknięciu przyszła od niego pocz-
tówka. Jak wynikało ze stempli pocztowych zasłaniających
pismo Jontego, kartka została nadana dużo wcześniej, zaraz
drugiego stycznia. Odbyła jednak daleką drogę — z Oslo
przez Kopenhagę, co Flinn wprost nie mieściło się w głowie.
A potem z Hamburga do ich domu szła jeszcze prawie cały
tydzień. Na poczcie często zapominano, że gdzieś wśród
pól rozrzuconych wokół Weidenborstel też mieszkają ludzie
mający skrzynkę pocztową.

Od tamtego dnia Flinn przejęła zwyczaj brata i zaczęła
szwendać się tu po nocach. Stworzyła z tysiąc teorii, co się
mogło wydarzyć. Może Jonte został porwany? Włączony do

programu ochrony świadków? Teraz przychodziła tutaj już jedynie po to, aby tak jak on kiedyś trochę sobie pomarzyć — o życiu gdzieś indziej, gdzie trawa jest bardziej zielona, śmiech głośniejszy, a możliwości dużo większe. Chętnie poszłaby w ślady swojego brata, gdyby tylko wiedziała, dokąd wiodą. Rodzina na pewno by za nią nie tęskniła. Tak jak nie brakowało im jej w żadną z nocy, które spędzała na peronie.

*Nocny wiatr powieje,
jeśli tylko zechcesz,
a w dal cię zabierze
ten magiczny ekspres.*

— napisał Jonte. Czy to miała być jakaś zagadka? A jeśli tak, to w jaką dal? Flinn westchnęła ciężko. To tylko amatorskie rymy. I nic ponadto.

Nie dostrzegала w tym nic nadzwyczajnego, policja jednak uważała inaczej. Wzięto kartkę do analizy w specjalnym laboratorium. Nikt jednak nie potrafił z niej nic wyczytać — poza Flinn. Jak to możliwe, że tylko ona jedna mogła zobaczyć pociąg na przedniej stronie? Patrzyła na eleganckie wagony w kolorze ciemnego turkusu, podczas gdy reszta rodziny widziała jedynie starą, wysłużoną drezynę? Ale przecież Jonte na pewno nie prysnął na skrzypiącej drewnianej platformie na kołach, to musiała zrozumieć chyba nawet policja.

Wyjęła pocztówkę z kieszeni spodni. Jej rogi były już porządnie zniszczone, ponieważ Flinn nosiła ją ze sobą wszędzie, od kiedy policja odesłała matce ten dowód, nie

dokonawszy żadnych ustaleń. To było ponad rok temu. Flinn nadal widziała tamten pociąg, niewidoczny dla nikogo poza nią. Cóż to był za pociąg! Nie żaden zwykły ekspres regionalny o porysowanych szybach ani nawet sterylny InterCity. Nie, to był najpiękniejszy pociąg, jaki Flinn kiedykolwiek widziała. Staroświecki, ciągnięty przez prawdziwą lokomotywę parową. Kremowe dachy wagonów błyszcząły w promieniach słońca, a na nieskazitelnym lakierze bez najmniejszej rysy widniał napis złożony stylowymi literami. Niestety Flinn nie była w stanie go odczytać.

— Kra!

Flinn wzdrygnęła się wystraszona. Znowu przesiedziała tu kilka godzin i nawet nie spostrzegła, jak nadciągnęła ciemna noc. Kruki przyglądały jej się z przekrzywionymi łebkami. Westchnąwszy, Flinn energicznym ruchem rzuciła ostatni kawałek chleba na koniec peronu, tam, gdzie rozpadający się beton raptownie zniknął w dzikich zaroślach. Kruki natychmiast pofrunęły w tamto miejsce — z ochryłym wrzaskiem.

Kiedy kłębowisko skrzydeł i ciemnych dziobów się rozproszyło, Flinn dostrzegła na peronie jakieś zwierzę. Nie był to kruk, tylko coś dużego, smukłego, białego. I trochę niewyraźnego.

Serce Flinn zaczęło bić mocniej. Strach przeszył jej ciało niczym prąd elektryczny i całkiem ją sparaliżował. Na zdrewniałych kończynach pochyliła się nieco do przodu, tylko na tyle, by zza metalowego filara, który ją zasłaniał, móc rzucić okiem na to osobliwe stworzenie. Wcale nie zrobiło

się przez to wyraźniejsze. Wręcz przeciwnie — jego zarysy wciąż pozostawały rozmyte, jak rysunek granatowej nocy, którą ktoś próbował namalować zbyt rozwodnioną farbą.

Flinn poczuła ciarki na plecach. Nie wierzyła w magię, w duchy ani upiory. Ten stwór jednak zdecydowanie należał do gatunku zjawisk, z powodu których należało raczej unikać przesiadywania na opuszczonym peronie. A może to przywidzenie? Flinn przetarła oczy. To coś jednak nie zniknęło.

Tylko spokojnie. Trzeba zachować zimną krew.

Zwierzę ani drgnęło. Siedziało milczące i spoglądało na rozległe pola zbóż. Chyba jeszcze jej nie dostrzegło. Wydawało się to bardzo prawdopodobne, ponieważ Flinn miała na sobie swoją najciemniejszą koszulę. A wiatru, który mógłby ponieść jej zapach, akurat tej ciepłej nocy nie było.

Nagle, całkiem nieoczekiwanie, to coś się poruszyło. Flinn skuliła się mimo woli, gdy zwierzę odwróciło niewyraźną głowę w jej kierunku i spojrzało wprost na nią.

Nie zdążyła ugryźć się w język i pisnęła — wydała wysoki dźwięk, który zupełnie nie pasował do takiej dziewczynki jak ona.

Zwierzę drgnęło. Przez ułamek sekundy trudno było powiedzieć, kto z nich dwojga bardziej się przeraził. Po chwili dziwne stworzenie podniosło się i powoli ruszyło w jej stronę — jego niewyraźny ruch zlewał się z wiatrem, który raptem się zerwał.

O nie — pomyślała Flinn, nienienienie! — Wyprostowała się gwałtownie. Chciała uciec, musiała uciec. Nie zamierzała mieć nic wspólnego z tym czymś. A jeśli to coś

było prawdziwym powodem zniknięcia Jontego? Nie żadna idiotyczna drezyna, tylko to... właściwie co?

Zwiewaj! Jednak nogi nie chciały jej słuchać, nagle stały się zupełnie bezużyteczne i zaplątały się już przy pierwszym kroku.

Zwierzę podchodziło coraz bliżej, z pochyloną głową, jakby się skradało.

Flinn czuła pulsowanie w skroniach. To koniec, to koniec, to koniec.

Jej uszy wypełnił szum i odległy gwizd. Chłodny wiatr musnął jej twarz.

„Nocny wiatr powieje...” — napisał Jonte.

Mgliste zwierzę znieruchomiało. Zdawało się nasłuchiwać i nie spuszczało wzroku z Flinn. Nagle gwizd wypełnił cały peron. Flinn wzdrygnęła się i zakryła uszy dłońmi. Co się tutaj dzieje? To brzmiało identycznie jak stary czajnik na herbatę, kiedy mama zbyt długo zwlekała ze zdjęciem go z ognia. Tylko głośniej, tysiąc razy głośniej.

Zwierzę odwróciło się znowu w stronę torów. Ale nim Flinn zdołała wykorzystać ten moment i wziąć nogi za pas, ziemia zatrzęsała się pod jej stopami i coś potężnego, ciężkiego wjechało z hukiem na dworzec. Oblał ją snop rozproszonego światła, a uderzenie powietrza, silne jak w tunelu aerodynamicznym, przewróciło ją na ziemię. Potem wiatr osłabł, a gwizd rozplątał się w przeraźliwym pisku. Metal ocierał się o metal i nagle, z gwałtownym szarpnięciem, które Flinn odczuła fizycznie, monstrum się zatrzymało. Przy akompaniamencie głośnego syku wydobyła się spod niego

para niczym dyszący oddech. W mgnieniu oka dworzec został spowity nieprzeniknionym, gęstym dymem. Flinn leżała na peronie obok ławki, kaszląc i łapczywie chwytając powietrze. A potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapanował spokój. Upiorny spokój po hałasie sprzed chwili.

Flinn odczekała sekundę i jeszcze kolejną, po czym najszybciej jak umiała dźwignęła się z ziemi. Roztarła obolałe łokcie, uniosła głowę i spojrzała wprost na wagon pociągu. Z odbicia w szybie gapił się na nią zdjęty przerażeniem jej sobowtór. Miała przed sobą szereg ciemnych, lśniących jak lustra okien, po osiem w każdym z wagonów wysokiego, smukłego pociągu w turkusowym kolorze o płaskich kremowych dachach.

Flinn zacisnęła powieki i otworzyła je znowu. Nie, nic się nie zmieniło. Dym szczypał ją w oczy, ale to był pociąg. Bez dwóch zdań.

Ten pociąg.

... jeśli tylko zechcesz...

Powoli, jakby ta chwila była równie krucha jak szkło, spojrzała na pocztówkę. Ze zdenerwowania niemal całkiem zgmiotła gruby papier. A jednak to był pociąg Jontego. Bez najmniejszych wątpliwości. Pociąg, który potrafiła zobaczyć tylko ona. Uniosła głowę i drżąc, zaczerpnęła powietrza. Wyglądał identycznie! Między wagonami znajdowały się te same staromodne drewniane platformy, te same ornamenty zdobiły umocowane na zewnątrz lampy. Teraz mogła

wyraźnie zobaczyć na lakierze także złote litery EM oraz stylizowany pawi ogon, a oba te elementy były zamknięte w prostokącie.

Serce Flinn wykonało dzikie salto. Nigdy dotąd nie widziała nic piękniejszego.

Lecz zanim rozplynął się ostatni obłok pary, w którymś z wagonów na przedzie zatrzęsnęły się drzwi. Huk odbił się echem w ciemności nocy i wyrwał Flinn z odrętwienia. Nagle z przerażeniem stwierdziła, że pociąg powoli rusza z miejsca.

Nie. Tylko nie to!

Jej serce przestało bić, i to na całkiem długą chwilę, a potem zaczęło galopować jak szalone.

Niewyraźne stworzenie zniknęło z peronu. Czyżby wsiadło do wagonu? To po nie przyjechał pociąg?

A ona?

Zastygła w miejscu ze strachu przed niewytłumaczalnymi zjawiskami, takimi jak te? Czy też w obawie przed tym, co mogło ją czekać po drugiej stronie zbożowych pól? Czy naprawdę tego chciała? Zostać tutaj?

Flinn zacisnęła dłonie w pięści. Ten pociąg był jej szansą, może jedyną. Przeszył ją dreszcz. Pomyślała o Jontem. O wielkim, szerokim świecie, który gdzieś istnieje, gdzieś tam, lecz na pewno nie tu. Pomyślała też o tym wszystkim, co naprawdę ważne, i zanim się spostrzegła, puściła się pędem przed siebie, uczepiła poręczy ostatniej platformy i wciągnęła na najniższy stopień. Dosłownie w ostatniej chwili, na samym końcu peronu.

Trzymając się kurczowo chłodnego metalu poręczy, łapczywie chwyciła ustami powietrze. Po raz ostatni spojrzała za siebie na opuszczony peron. Dworcowy zegar właśnie drgnął, pierwszy raz po latach. Wskazywał dwadzieścia dwie minuty po godzinie drugiej.

Potem pociąg skręcił w lewo i zegar zniknął z pola widzenia.

Teraz już nie było powrotu.

*... a w dal cię zabierze,
ten magiczny ekspres.*

Flinn odwróciła się w kierunku metalowych drzwi prowadzących do wnętrza pociągu. W ich górnej części znajdowało się kwadratowe okienko. Zza niego prześwitywała niebieskawa ciemność.

— Bądź nieustraszona i odważna! — szepnęła Flinn i głęboko zaczerpnęła powietrza. Nie bez wysiłku otworzyła drzwi i przeszła dalej.